

J&J Ltd.

Krzysztof Hoffmann

Rok 2012 jest rokiem niemożliwości spełnionych. Po pierwsze, Polska (współ)organizuje mistrzostwa piłkarskie, po drugie pojawia się tłumaczenie książki, o którym można było myśleć, iż nie pojawi się nigdy. Chodzi oczywiście o Finneganów tren Jamesa Joyce'a w przekładzie Krzysztofa Bartnickiego – z pewnością jedno z ważniejszych (a zdaniem niektórych najważniejszych) wydarzeń wydawniczych po roku 2000. W momencie gdy piszę te słowa, rezultatów pierwszej z niemożliwości spełnionych przychodzi jedynie wyczekiwać, rezultatów drugiej... również, choć pojawiają się już pierwsze jaskółki.

Dlaczego warto przyglądać się recepcji jednej z najbardziej nieprzeniknionych książek, jakie kiedykolwiek zrodziła zachodnia literatura? Marek Wilczyński opublikował kiedyś w „Czasie Kultury” esej pod tytułem Archeologia mody (4/1998), którego punktem wyjścia

była fascynacja wydanymi jeszcze w PRL-u pismami Heideggera, a punktem dojścia, „nasza wielka meta-moda” na postmodernizm – obie były stymulowane przez świeże tłumaczenia. Polska humanistyka rozwija się w rytmie przekładów. Idąc tym tropem, należałoby powiedzieć, że Finneganów tren z pewnością stanie się (na czas jakiś jedynie!) uprzywilejowanym artefaktem do dopisywania glos. W rozmowie prywatnej Bartnicki stwierdził, że czasy, gdy istniała możliwość poderwania dziewczyny na jakąkolwiek literaturę, już minęły, ponieważ żadna książka nie jest w stanie wzbudzić powszechnego zainteresowania. Być może, choć należałoby zapewne przeprowadzić próby empiryczne. Mam jednak solidne podejrzenie, że nocne stoliki humanistów, a zapewne nie tylko ich, opuszczą ezoteryczne pisma o pismach Derridy oraz tomiki wierszy Ashbery'ego. Opus impossibile Joyce'a, znajomość z nim, próba znajomości, kolejne podejścia do początków zaznajamiania, staną się kastowym spoiwem intelektualnych snobów (i mniej licznej garstki szczerze zainteresowanych).

W krajach anglojęzycznych fabryką komentarzy do pism Irlandczyka zarządza już trzecie pokolenie badaczy. W Polsce ta spółka z ograniczoną odpowiedzialnością za słuszność odczytania jest siłą rzeczy mniejsza, ale otrzymany impuls mocno ją ożywi. Wydawca książki (korporacja Ha!Art) już zapowiada dwie pozycje egzegetyczne, a tymczasem jednym z pierwszych pism reagujących na Finneganów tren (z wyjątkiem oczywiście wydawnictw internetowych; por. również tekst na e.czasokultury.pl) jest dodatek do „Tygodnika Powszechnego” (10/2012), „Magazyn Literacki” (nr 1-2). Otwiera go rozmowa z tłumaczem przeprowadzona przez Grzegorza Jankowicza i przyznać trzeba, że budzi zazdrość (sympatyczną i z przekornego uznania) dezynwoltura, z jaką Bartnicki podchodzi do tematu swojego zada-

nia. Tu i w innych miejscach („Gazeta Wyborcza”, „Książki” 1/2012) przedstawia się nie jako osoba, która w splendorze dokonała tego, na czym język łamał sobie taki wyga translatorski, jak Słomczyński, ale jako ktoś Joyce’em zniechęcony, zniesmaczony, przez Joyce’a pozarty: „Joyce szczerzy nie był. Jeśli mam pretensje, to nie o wypieranie się możliwej schizofrenii [...], lecz [...] o językowe hermetyzowanie powieści o seksie i kloace jednego człowieka – na którą to treść szkoda nie dziesięciu lat, ale dziesięciu godzin”. Pomimo tego zaczepnego quasi-streszczenia w żaden sposób nie rości sobie (i on nawet!) prawa do miana tego, który książkę zrozumiał, choć nietrudno się domyślić, że głównie na zabiegach wyjaśniania minęło 10 lat pracy.

Fragmentowi powieści (o wyjątkowej urodzie i sporym potencjale humorystycznym) towarzyszą komentarze Zenona Fajfera (recenzja z jego Dwudziestu jeden liter w „CzK” 2/2011) i jednej z najlepszych polskich badaczek Joyce’a – Katarzyny Bazarnik. Finneganów tren bowiem ukazuje się w redagowanej przez nich serii „Liberatura”. Bazarnik proponuje formułę najszerszą z możliwych (choć w wypadku innych pozycji wydawałoby się, że ma ona charakter uniku, być może jedyną możliwą): „tutaj czytelnikom niemal wszystko wolno”. Piotr Paziński zestawia więc Joyce’a z Kafką, a Jakub Momro erudycyjny (jak zawsze) szkic Galaktyka słów, w którym ukazana zostaje historia zainteresowania (oraz braku tegoż zainteresowania) filozofów autorem Ulissesa, konkluduje tezę wynoszącą książkę, mieszczącą od trzydziestu do stu języków (i tutaj nie ma zgodności), do rangi fundatorskiego dla myślenia arcydzieła: „Z tej zmaconej rzeczywistości wyłania się [...] porządek innego rzędu, który zawsze wyprzedza nasze postrzeganie i rozumienie oraz przesuwana nasze estetyczne, poznawcze, egzystencjalne granice. A z niezrozumie-

nia i nieładu, z możliwości i przypadku rodzą się nasze nietrwałe języki i nasza niepewna kultura”.

Do wzmagającego się ruchu w temacie dołącza się z najnowszym numerem „Topos” (1-2/2012), który zamieszcza obszerny arkusz zadedykowany Joyce’owi, pod redakcją Joanny Barskiej. Otwierają go trzy wiersze z cyklu Pomes Penyeach w przekładzie Andrzeja Słomianowskiego wraz z komentarzem tłumacza. Tekst Michaliny Kmiecik dostarcza lektury muzycznych aspektów tomu Chamber music. Według podobnego klucza czyta Barska, odnotowując uwagi dotyczące „muzycznego potencjału” prozy Joyce’a. Ciekawy i zarazem dość hermetyczny tekst wieńczy interesująca uwaga: „Joyce sięga po muzyczne inspiracje, podając w wątpliwość autonomię «ja»: ewokuje symultaniczność, ujawniając równocześnie wewnętrzną wielogłosowość bohaterów”.

Prawdziwym popisem możliwości interpretacyjnych, jakie skrywa Finnegans Wake, jest szkic przywoływanej już Katarzyny Bazarnik. Badaczka z Uniwersytetu Jagiellońskiego wskazuje, w jaki sposób inicjały HCE oraz ALP, skrywające parę bohaterów tej prozy, generują nazwy własne, fragmenty powieści. Oraz na odwrót, jak w większych całościach odnaleźć można akrostychy układające się we wspomniane litery. Tym samym bohater (ang. character) staje się również literą (ang. character), litera – bohaterem. W zamykającej książkę króciutkiej nocy, która próbuje zrekonstruować jej przebieg fabularny, redaktorzy dość przewrotnie stwierdzają, że „Joyce napisał utwór przyjaźnie otwarty na rozmaite próby zrozumienia”. Bazarnik przekonująco pokazuje, że może to oznaczać również lekturę na tak niskim, molekularnym poziomie, jakim jest pojedynczy, wydestylowany znak, choć jest to trudna przyjaźń, w której wzajemne (po)rozumienie nie +

zawsze się pojawia, skoro litery te „wskazują [...] na indeksową nieciągłość, na niemożność wskazywania”.

Toposowy arkusz został przygotowany przed publikacją przekładu Bartnickiego, toteż większość tekstów skupia się na innych dziełach. Dwa obracają się w kręgu Joyce’owskiego teatru. Píše o nim Tomasz Kowalski, a obok rozmowa o dramaturgicznej recepcji pisarza w twórczości Jerzego Grzegorzewskiego. O relacjach między rzeczywistością i światem w prozie autora Dublińczyków píše Ewelina Twardoch, o czasie w *Ulissiesie* – Przemysław Pełka, o Derridzie jako autorze nietuzinkowych odczytań Joyce’a – Magdalena Marciniak (do pewnego stopnia jej trop lekturowy pokrywa się zatem z Jakubem Momro z „TP”). Wreszcie Aleksandra Wachacz i jej utrzymana w formie anegdoty relacja o spotkaniu Joyce’a z Proustem. Wszystkie teksty to rodzaj dobrze ułożonego akademickiego wywodu, okraszzone należytyymi przypisami, niektóre bardziej, niektóre mniej porywające, w większości adresowane do czytelnika specjalistycznego. Brakuje formy, która rozerwałaby uładzone narracje, choć zapewne nie należy się dziwić, skoro jednym z wniosków płynących z Derridiańskiej lektury Joyce’a jest według Marciniak stwierdzenie, że: „dążenie do lektury [...] związanej z wymogami kompetencji akademickiej skutkuje zamknięciem dyskursu na propozycje przychodzące spoza źródeł uznanych za «kompetentne»”. Nie komentuję jednak tego komentarza do komentarza do *Ulissesa*, aby utyskiwać na zredagowany zgodnie z regułami sztuki blok tekstów. Przemysł joyce’owski rozwija się i jak odnotowuje Twardoch: „Bibliografia przedmiotu dotycząca tych zaledwie kilku powieści, opowiadań, wierszy, dramatów i artykułów krytycznych jest dzisiaj nie do zweryfikowania dla jednego człowieka”. Pod tym względem, gdyby istniała

szansa na stworzenie odpowiednich, miarodajnych wskaźników, bije zapewne jakiś rekord. Do czegoż innego zresztą może odnosić się zdanie, które Finneganów tren mieści na stronie 309: „I albo można niniejsze odnieść mniej albo nie do Guinnessa niemniej”?

Rzecz w czym innym. Większość przywoływanych autorów to postaci młode albo bardzo młode, dokonujące zmiany warty, przygotowujące pole dla przyszłych tematów (o ile sami nie zamilkną, jak kiedyś odnotowywali tendencję wśród młodych krytyków Dariusz Nowacki i Krzysztof Uniłowski). Finneganów tren wytworzy – jestem o tym przekonany jeszcze w trakcie pierwszego (niemożliwego do ukończenia) zaznajamiania się (przed kolejnymi równie niemożliwymi, przed kolejnymi podejściami, próbami podejść) – własną, polską, literacką kulturę. Wystarczy poczekać. Tylko czy będzie to zaledwie niszowa moda na podrzucanie cytatów, spiętrzone aluzje i prośby o dołączenie do tajemnego bractwa, czy też dyskusja równie niszowa, ale w wypadku takiego pisarstwa nie ma innej możliwości (i dobrze), dyskusja choćby nad współczesnością Joyce’a, a może potencjałem, granicami i powinnościami literatury? ●